



O Autorze:

ALEX SCARROW zaczynał jako grafik, po czym zdecydował, że zostanie projektantem gier komputerowych. W końcu dojrzał i został pisarzem. Napisał wiele popularnych thrillerów oraz kilka scenariuszy, ale to pisanie dla młodzieży pozwala mu do woli cieszyć się pomysłami i koncepcjami, którymi bawił się podczas tworzenia gier.

Mieszka w Norwich z synem Jakubem, żoną Frances i dwoma bardzo grubymi szczurami.

Odwiedź witrynę www.time-riders.co.uk i zostań Jeźdźcem w Czasie.

Seria Time Riders:
Tom 1: Jeźdźcy w Czasie
Tom 2: Czas drapieżników

Wkrótce kolejne tomy!

Alex Scarrow



Czas drapieżników

Tłumaczenie: Karol Sijka

WYDAWNICTWO  ZIELONA SOWA

Książka do kupienia na: www.zielonasowa.pl

Tytuł oryginału: *Time Riders. Day of the Predator*
First published in Great Britain in the English language by
Penguin Books Ltd.

Copyright © Alex Scarrow, 2010
All rights reserved

© Copyright for this edition by Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.,
Warszawa 2013
All rights reserved

Wszystkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości
albo fragmentów książki możliwe jest tylko na podstawie pisemnej
zgody wydawcy.

ISBN 978-83-7895-422-4

Tłumaczenie: Karol Sijka

Redaktor prowadzący: Agnieszka Sobich
Redakcja: Magdalena Adamska
Korekta: Magdalena Adamska, Agnieszka Skórzewska
Skład i łamanie: Bernard Ptaszyński

Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
00-807 Warszawa, Al. Jerozolimskie 96
tel. 22 576 25 50, fax 22 576 25 51
www.zielonasowa.pl
wydawnictwo@zielonasowa.pl

*Frances, Jacobowi, Maksowi i Frodo
z biura terenowego w Norwich*

*A Tobie, Drogi Czytelniku,
ślę zaszyfrowaną wiadomość,
przeznaczoną wyłącznie dla Twoich oczu:*

*FAŚHĘ ZRŁIPIĄŚ TŁ ŁRSZYCÓŁWPO,
ŃŁFJUFAŠZ WPĆB FAŖKAĆŁ SIŁWP – ŃPKRŁÓP*

ROZDZIAŁ 1

Mumbaj, Indie
rok 2026

Dudnienie popłynęło echem w dół klatki schodowej niczym lokomotywa. Nagle zapadła nieprzenikniona ciemność, powietrze wypełniła gęsta chmura pyłu i dymu. Sal Vikram pomyślała, że za chwilę udławi się wdychanymi przez nos kurzem i drobinami ceglanego tynku; gruba, kredowa warstwa zatykała jej gardło i osiadała na podniebieniu.

Minęła wieczność, zanim przejaśniło się na tyle, aby dziewczyna znowu zdołała zobaczyć światło awaryjne zawieszone na ścianie klatki schodowej. W niewyraźnej, bursztynowej poświacie udało się jej zauważyć, że dolna część schodów jest kompletnie zawałona gruzem i zablokowana wygiętymi metalowymi dźwigarami. Wyższą część klatki schodowej, po której schodzili kilka chwil wcześniej, zgniotło zawałone piętro. Z rumowiska belek i pękających pustaków wynurzyło się kredowobiałe, nieruchome ramię, wyciągnięte jakby z błagalną prośbą o podtrzymanie lub uwolnienie.

– Jesteśmy uwięzieni – wyszeptała matka.

Sal popatrzyła na nią, a potem na swojego ojca. Mężczyzna energicznie potrząsnął głową, uwalniając kaskadę pyłu z przerzedzonych włosów.

– Nie! Nie jesteśmy! Kopiemy! – Spojrzał na Sal. – Właśnie to teraz będziemy robić: kopać. Prawda, Saleeno?

Przytaknęła bez słowa.

Mężczyzna odwrócił się do pozostałych osób uwięzionych wraz z nimi na klatce schodowej.

– Prawda? – zapytał. – Musimy kopać. Nie możemy biernie czekać na ratunek... – Jej ojciec mógł powiedzieć więcej, mógł dokończyć zdanie, powiedzieć to, co myśleli wszyscy: skoro wieżowiec zawalił się już do tego piętra, nie było powodu, dla którego wkrótce nie miałby runąć całkowicie.

Sal rozejrzała się wokół. Rozpoznała większość twarzy, choć wszystkie spowijał upiornie biały kurz: pan i pani Kumar mieszkający dwa apartamenty dalej; Chaudhrysowie z trzema młodymi synami; pan Joshipura: biznesmen, podobnie jak jej ojciec, i singiel otoczony zazwyczaj wianuszkami kobiet. Dziś jednak prawdopodobnie został sam.

I... jeszcze jeden człowiek, stojący z tyłu klatki schodowej, pod ścienną lampą. Nie rozpoznała go.

– Jeśli zaczniemy w tym grzebać, wywołamy lawinę! – ostrzegła pani Kumar.

– Ma rację, Hari. – Matka Sal położyła dłoń na ramieniu męża. Hari Vikram odwrócił się i uważnie spojrzał na pozostałych.

– Niektórzy z was są w takim wieku, że muszą to pamiętać. Przypominacie sobie, co przydarzyło się Amerykanom w Nowym Jorku? Pamiętacie bliźniacze wieże?

Sal stanęły przed oczami kadry z filmu dokumentalnego wyświetlanego na lekcjach historii. Dwa wysokie, wspaniałe budynki runęły na ziemię i zniknęły wśród kłębow szarego dymu.

Kilka głów przytaknęło. Starsze osoby dobrze wiedziały, o czym mowa, ale nikt nie wystąpił do przodu. Jakby podkreślając wagę sytuacji, metalowy dźwigar nad ich głowami pękł i osunął się, uwalniając małą lawinę kurzu i gruzu, która opadła na uwięzionych.

– Jeśli będziemy tu czekać z założonymi rękami... umrzemy! – krzyknął ojciec.

– Przyjdą po nas! – odpowiedział pan Joshipura. – Strażacy wkrótce...

– Nie. Obawiam się, że nie.

Sal odwróciła się w stronę, z której dobiegł głos. Starzec, którego nie znała, powtórzył ciszej:

– Obawiam się, że po was nie przyjdą. – Brzmiał jak człowiek Zachodu, Anglik lub Amerykanin. W odróżnieniu od pozostałych nie był pokryty grubą warstwą kurzu. – Budynek zawali się za niecałe trzy minuty. Za niecałe trzy minuty belki podporowe pod podłogą pękną. Palace Tower, obciążony wagą zawalonych pięter, runie jak domek z kart.

Popatrzył na twarze ofiar, szeroko otwarte oczy dorosłych i wybaluszone oczka dzieci.

– Naprawdę mi przykro, ale żadne z was nie przeżyje.

Spiekota w klatce schodowej stawiała się nie do wytrzymania. Piętro niżej płomienie wybuchły z pełną mocą, żar topił stalową konstrukcję drapacza chmur. Wokół rozbrzmiewało echo rozdierających jęków.

Hari Vikram przez chwilę bacznie przypatrywał się nieznajomemu: nie można było nie zauważyć, że tylko do niego nie przylgnęła gruba warstwa kredowego pyłu.

– Czekaj! Jesteś czysty. Jak się tu dostałeś? Można się stąd wydostać w inny sposób?

– Nie! – Mężczyzna potrząsnął głową.

– Ale nie było cię tutaj, kiedy zawaliło się piętro. Musi być inna droga...

– Przybyłem dopiero przed chwilą – odpowiedział mężczyzna – i niedługo będę musiał was opuścić. Czas ucieka.

Mama Sal podeszła do nieznajomego.

– Opuścić? W jaki sposób? Czy możesz... możesz nam pomóc?

– Mogę pomóc tylko jednej osobie. – Wzrok mężczyzny spoczął na Sal. – Tobie, Saleeno Vikram.

Sal poczuła na sobie spojrzenia wszystkich osób znajdujących się na klatce schodowej.

– Weź mnie za rękę – powiedział mężczyzna.

– Kim jesteś? – spytał ojciec.

– Jestem ostatnią szansą twojej córki. Jeśli weźmie mnie za rękę... przeżyje. Jeśli nie, umrze razem z wami.

Jeden z chłopców zaczął płakać. Sal знаła go bardzo dobrze, czasem niańczyła chłopaków Chaudhrych. Miał dziewięć lat i w przeżeniu kurczowo ścisnął ulubioną pluszową zabawkę – jednoosobowego misia – zupełnie jakby pluszak stanowił przepustkę do dalszego życia.

Głęboki jęk belek podporowych znowu przetoczył się przez wąską klatkę schodową wieżowca. Przeszywający dźwięk przypominał żałobną pieśń konającego wieloryba lub wibracje napinającego się kadłuba tonącego statku. Stęchłe, gorące powietrze paliło płuca przy każdym oddechu.

– Zostało niewiele ponad dwie minuty – powiedział mężczyzna. – Wysoka temperatura powoduje odkształcanie się konstrukcji budynku. Palace Tower wkrótce się zawali: najpierw kolejne piętra będą opadać bezpośrednio na siebie, potem całość konstrukcji rozsypie się na boki i runie na pobliskie centrum handlowe. Za sto dwadzieścia sekund zginie pięć tysięcy osób. Jutro do wiadomości publicznej podana zostanie informacja o ataku terrorystów.

– Kim... kim jesteś? – ponownie zapytał ojciec Sal.

Mężczyzna – na oko pięćdziesięcio- lub sześćdziesięcioletni – precyzyjnie przeszedł przez tłoczących się ludzi i wyciągnął rękę ku Salee. – Nie mamy czasu. Weź mnie za rękę – powiedział.

Ojciec dziewczyny zastąpił mu drogę.

– Kim jesteś? Jak się tutaj dostałeś?

Starzec odwrócił się do niego.

– Przepraszam. Nie mamy na to czasu. Po prostu przyjmij do wiadomości, że przybyłem tu i równie łatwo mogę się stąd wy dostać.

– Jak?!

– Nieważne „jak”... ważne, że mogę. Mogę zabrać ze sobą tylko twoją córkę... wyłącznie twoją córkę. – Starzec spojrzał na zegarek

na swoim nadgarstku. – Zostało już naprawdę niewiele czasu: półtorej minuty.

Sal przyglądała się napiętej twarzy ojca, szare komórki mężczyzny zdawały się pracować z isticie biznesową wydajnością. Nie ma czasu na żadne „jak” i „dlaczego”. W zablokowanej klatce schodowej pod nimi szalały jężory ognia, rzucając przez gęsty pył tańczące cienie.

Hari Vikram odsunął się na bok.

– Zabierz ją więc! Musisz ją zabrać!

Sal z niepokojem spojrzała na ekscentrycznego starca, bojąc się podać mu rękę. Nie to, że wierzyła w istoty z innego świata, w bogów hinduskich, anioły lub demony... ale on sprawiał wrażenie, jakby pochodził z obcej galaktyki. Wyglądał jak zjawą. Duch.

Ojciec nerwowo złapał ją za rękę.

– Saleeno! Musisz z nim iść!

Niepewnie spoglądała na rodziców.

– D-dlaczego nie możemy iść wszyscy?

Starzec potrząsnął głową.

– Tylko ty, Saleeno. Przykro mi.

– Dlaczego? – Poczula spływające po policzkach łzy, które tłoczyły czarne bruzdy w kredowobiałej twarzy.

– Jesteś wyjątkowa – odrzekł starzec. – Dlatego.

– Musisz zabrać też moich chłopców, błagam! – krzyknęła rozpaczliwie pani Chaudhry.

Starzec odwrócił się do niej.

– Nie mogę. Chciałbym... ale nie mogę.

– Błagam! To jeszcze dzieci. Młodsze niż dziewczyna! Przed nimi całe życie...

– Przykro mi, nie ja o tym decyduję. Mogę zabrać ze sobą jedynie Saleenę.

Dziewczyna poczuła na ramionach dłonie swojego ojca. Pochnął ją mocno w stronę nieznanomego.

– Zabierz ją! Zabierz ją stąd!

- Tatko! Nie!
- Zabieraj ją, już!
- Nie! Nie...

Rozległo się potężne huknięcie, podłoga pod stopami zaczęła drżeć.

- Zostało kilka sekund – ponaglał starzec. – Spieszcie się!
- SALEENA! – krzyknął ojciec. – IDŹ!
- Tatko! – krzyknęła i odwróciła się do mamy: – Proszę! Nie po-
trafię!

Starzec pochylił się w stronę dziewczynki, złapał ją za rękę i próbował przyciągnąć do siebie, ale Sal instynktownie wykręcała dłoń i wiła się, aby wyzwolić się z uścisku.

- Nie! – krzyknęła.

Potężne dudnienie było coraz głośniejsze, podłoga zaczęła drżeć, kaskady pyłu i tynku spadały z wyższych pięter i wirowały w powietrzu.

- Teraz! – powiedział starzec. – Już pora! Saleeno... Ocalę ci życie, ale musisz iść ze mną!

Dziewczyna spojrzała na niego. To kompletnie szalone, ale, nie wiedząc czemu, wierzyła temu człowiekowi.

- Twoi rodzice też tego chcą. – Oczy mężczyzny były świdrujące i pełne starczej mądrości.

- Tak! – krzyknął ojciec, próbując przebić się głosem przez wszechobecny huk. – Błagam! Zabierz ją stąd. NATYCH-
MIAST!

Matka Sal odpychała szczupłą sylwetkę mężczyzny i wyła, wyciągając ręce, by po raz ostatni przytulić swoje dziecko. Ojciec chwycił ją jednak pewnie i odciągnął.

- Nie, kochanie! Ona musi iść.

Pani Chaudhry popchnęła w stronę starca dwóch chłopców.

- Proszę, ich też złap za ręce! Złap ich za ręce...

Podłoga pod ich stopami ponownie zadrżała i gwałtownie przechyliła się na bok.

Sal nagle poczuła zawroty głowy, zupełnie jakby zaczęła bezwładnie spadać.

„Dokładnie tak, ja spadam” – Sal bardziej się zdziwiła niż przstraszyła.

Posadzka pękła na pół, poniżej rozlał się ocean wzburzonych fal ognia przetaczających się przez budynek niczym płomienie piekielne. Ostatnie, co zobaczyła, to jednooki miś spadający przez wielką wyrwę w posadzce w rozszalałe płomienie.

ROZDZIAŁ 2

Nowy Jork
rok 2001

Sal usiadła wyprostowana na materacu – łapała oddech, czując że policzki ma mokre od łez.

„Znowu ten sam koszmar” – pomyślała.

W bazie panowała cisza i spokój. Słyszała, jak Maddy chrapie na materacu poniżej, a Liam, na łóżku obok, mamrocze coś przez sen tym swoim irlandzkim akcentem, wiercąc się przy tym niespokojnie.

Lampa zawieszona po drugiej stronie pomieszczenia roztaczała delikatną poświatę, rzucając światło na drewniany stół kuchenny i osobliwy zestaw starych, niedopasowanych foteli ustawionych wokół niego. Wzdłuż rzędu komputerów migały diody LED, w powietrzu wibrował charakterystyczny szum twardych dysków. Jeden z monitorów był włączony; dziewczyna pomyślała, że przeprowadzana jest właśnie rutynowa defragmentacja i porządkowanie plików z danymi. System nigdy nie spał.

Nie „system”... już nie. Komputer nie był już zwyczajnym oprogramowaniem informatycznym. W środku siedział Bob.

Sal rozbudziła się na dobre i zeszła z górnego materaca. Maddy drgnęła przez sen, Liam też spał niespokojnie. Może i oni ponownie przeżywali ostatnie chwile swojego poprzedniego życia: Liam – zatonięcie Titanica, Maddy katastrofę samolotu pasażerskiego. Koszmary nawiedzały ich aż za często.

Boso, po zimnej, betonowej podłodze, przeszła na palcach na drugą stronę pomieszczenia. Usiadła na krześle obrotowym i schowała stopy pod siebie, by je dobrze rozgrzać. Złapała za myszkę i otworzyła okno dialogowe. Palce cichutko stukają w klawiaturę.

> hej, Bob

> **Czy to ty, Maddy?**

> nie, to Sal

> **Jest 2:37 w nocy. Nie możesz spać, Sal?**

> koszmary

> **Przypomniałaś sobie dzień rekrutacji?**

„Rekrutacja”. Tego słowa użył starzec, Foster. Zupełnie jakby miała wtedy jakikolwiek wybór. Życie lub śmierć. Albo weźmiesz mnie za rękę, albo zostaniesz zgnieciona na miazgę przez walący się drapacz chmur. Wzruszyła ramionami.

„Trudny, kurczę, wybór” – Sal ogarnął pusty śmiech.

> tak, rekrutację

> **Szczerze współczuję, Sal.**

– Dzięki – powiedziała przyciszonym głosem do mikrofonu, bo zwyczajnie odechciało się jej pisać. Zresztą, odbijające się echem od sklepienia stukanie w klawiaturę prędzej zburzy sen pozostałych niż szeptanie do mikrofonu.

– Tak bardzo za nimi tęsknię, Bob.

> **Tęsknisz za rodziną?**

– Za mamą i tatą – westchnęła. – Zdaje mi się, że to wszystko wydarzyło się wieki temu.

> **Dołączyłaś do drużyny 44 cykle czasowe temu.**

Upłynęło dokładnie 88 dni, Sal.

„Cykle czasowe” – dwudniowe, samoczynnie resetujące się bańki czasowe, dzięki którym biuro terenowe jest stale zawieszone w okresie od dziesiątego do jedenastego września dwa tysiące pierwszego roku, podczas gdy życie na zewnątrz toczy się normalnym torem.

Na zewnątrz... czyli w Nowym Jorku – a mówiąc precyzyjniej, na Brooklinie. Na ulicach, które zdążyła już doskonale poznać. Bardzo

dobrze poznała też ludzi, z którymi rozmawiała, a którzy na pewno nie będą jej pamiętać: Chinę pracującą w pralni, Irańczyka prowadzącego sklep spożywczy na rogu. Za każdym razem kiedy rozmawiali z Sal, był to dla nich pierwszy raz – nowa twarz, nowy klient, którego należy radośnie powitać. Ale ona dobrze ich znała, wiedziała, co za chwilę powiedzą, wiedziała, jak dumna ze swojego syna jest Chinka, jak zły na terrorystów za zbombardowanie jego ukochanego miasta jest Irańczyk.

Dzisiaj jest wtorek jedenastego września, drugi dzień wiecznie odnawianego cyklu czasowego. Za niecałe sześć godzin pierwszy samolot pasażerski wpadnie w bliźniacze wieże, co na zawsze odmieni Nowy Jork i nowojorczyków.

– Co porabiasz, Bob?

> Sortuję dane. Porządkuję dysk twardy. I czytam książkę.

– Naprawdę? Ekstra. Co czytasz?

Na ekranie pojawiła się strona tekstu. Dziewczynka widziała, jak błyskawicznie, jedno po drugim, podświetlają się słowa „czytane” przez Boba podczas rozmowy.

> Harry’ego Pottera.

Sal przypomniła sobie stare filmy z pierwszej dekady wieku. Nie zrobiły na niej gigantycznego wrażenia, ale jej rodzice szaleli za nimi, gdy byli dziećmi.

– Podoba ci się?

Bob nie odpowiedział od razu. Sal zauważyła, że słowa podświetlane na otwartej stronie tekstu za siatką ekranującą nagle przestały migotać, dyskretny szmer pracujących dysków twardych ustał bez zapowiedzi. Formułowanie opinii... właśnie z tym zadaniem mierzył się teraz Bob. Wyrażenie opinii, symulowanie czegoś tak prostego jak ludzka emocja czy upodobanie oraz udzielenie odpowiedzi na banalne pytanie – „Lubię czy nie lubię?” – wymagało zaangażowania całej mocy systemu komputerowego.

W końcu, po kilku sekundach usłyszała, jak dyski twarde ponownie zaczynają szumieć.

> Bardzo lubię magię.

Sal uśmiechnęła się na myśl, ile terabitów mocy obliczeniowej kosztowało go wyrażenie tej prostej opinii. Gdyby chciała być złośliwa, zapytałaby teraz Boba, jaki według niego kolor najlepiej pasuje do fioletowego albo co jest smaczniejsze – lody czekoladowe czy waniliowe? Tak postawione pytanie zablokowałoby pewnie system na wiele godzin, a Bob, po żmudnym przekopaniu się przez nieskończone modele decyzyjne, odpowiedziałby tylko, że nie jest w stanie wyliczyć prawidłowej odpowiedzi.

Niech Bóg go błogosławi. Jest świetny w wyszukiwaniu i przetwarzaniu danych oraz odsyłaniu do niezbędnych informacji, ale lepiej go nie prosić o wybranie deseru z menu.

ROZDZIAŁ 3

Nowy Jork
rok 2001

Poniedziałek (czterdziesty piąty cykl czasowy)

Naprawiliśmy już większość szkód, które powstały w bazie po ostatniej kontaminacji czasowej – załatwiliśmy większość dziur w ścianach, wymieniliśmy drzwi do zaplecza na nowe, masywniejsze. Kupiliśmy też nowiutki generator awaryjny. Przyszli do nas monterzy, żeby go zainstalować. Musieliśmy ukryć przed nimi wehikuł czasu, a kiedy spytali o te wszystkie monitory na biurku, Maddy powiedziała im, że programujemy gry. Chyba to lyknęli.

Nowy generator jest zdecydowanie potężniejszy i bardziej niezawodny niż poprzednia, shaddjulna maszyna. Oczywiście lepiej, żebyśmy w ogóle nie musieli go używać.

Dostaliśmy też stary zestaw kina domowego, odtwarzacz DVD i jedną z tych konsoli Nintendo. Liam uwielbia na niej grać. Odbiło mu na punkcie głupiej ściganki, w której śmieszne ludki jeżdżą w kółko gokartami, rzucając w siebie bananami.

Ach, ci chłopcy!

Maddy mówi, że musimy wyhodować nową jednostkę pomocniczą. Nowego Boba. W razie gdyby znowu trzeba było naprawiać przesunięcia w czasie. Tyle że ten nowy nie będzie całkiem nowy. Ciało – owszem, ale Maddy mówi, że ładujemy w nie sztuczną inteligencję naszego Boba. Dzięki temu kolejna jednostka będzie wyglądała dokładnie jak Bob... a nie jak opóźniona w rozwoju belkocząca kupa mięśni, która wyskoczyła z pró-

bówki ostatnim razem. Niezła ulga. Zaraz po narodzinach Bob bił przecież rekordy głupoty.

Naprawiliśmy też próbówki porodowe. Niektóre z nich zostały stłuczone przez mutanty, które włamały się do bazy, ale na szczęście wszystkie cylindry działają już jak należy – wypełniłyśmy je śmierdzącym roztworem proteinowym, w którym pływają zarodki.

Poważnie, wygląda to jak gluciaste smarki. A do tego cuchnie jak wymiociny.

Ale nie mamy jeszcze zarodków. Najwyraźniej nie możemy użyć pierwszego lepszego płodu – potrzebujemy specjalnych, genetycznie modyfikowanych zarodków z przyszłości...

Maddy spojrzała na Liama.

– Gotowy?

– Tak jest – odpowiedział, dygocąc z zimna: miał na sobie jedynie parę pasiastych bokserów, a w rękach trzymał wodoodporną torbę po brzegi wypełnioną ubraniami.

Spojrzała w dół na swoje drżące pod koszulką ciało.

– Może któregoś dnia sklecimy coś do podgrzania wody, zanim do niej wskoczymy?

– Przydałoby się.

Weszła po schodkach ustawionych z boku pleksiglasowego cylindra i spojrzała na zimną wodę, którą dopiero co włali do zbiornika. Usiadła na górnym stopniu, tuż przy krawędzi cylindra, i zanurzyła palce. Mokry zrzut – według protokołu do przeszłości nie może przedostać się nic poza nimi i wodą: ani kawałek posadzki, ani dywan, ani beton, ani okablowanie, które nijak nie mogły istnieć w przeszłości.

– Och, Jeezuuu! Jest lodowata!

Liam przykucnął obok niej.

– Cudownie!

Maddy wzruszyła ramionami i spojrzała na Sal, która siedziała przy stanowisku komputerowym.

– Ile czasu do zrzutu?
– Minuta z sekundami.
– A więc – wydyszał Liam, z wolna opuszczając się do wody – jesteś pewna?

– Mm-hmm. – Ale nie była. Nie była pewna niczego. Starzec, Foster, mianował ją dowódcą. Pozwolił kierować poczynaniami druzyny i zarządzać biurem terenowym, choć wszyscy tylko cudem przeżyli swoje pierwsze doświadczenie z kontaminacją czasową. W efekcie do pomocy został jej jedynie komputer-Bob oraz folder z danymi na dysku twardym: „Pytania, które pewnie przyjdą ci do głowy”.

„Jak wyhodować nową jednostkę pomocniczą?” – taki tytuł nosił jeden z pierwszych plików w folderze, który zaczęła przeglądać kilka tygodni temu. Pierwsze zadanie to odbudowanie próbowek porodowych, uruchomienie ich i przywrócenie do życia jednego z klonów. Gdy podwójnie kliknęła ikonę pliku, na monitorze wyświetlona została twarz Fostera mówiącego do kamerki internetowej. Wyglądał dziesięć, może dwadzieścia lat młodziej niż pamiętnego ranka, gdy oznajmił jej, że jest gotowa do przejęcia dowodzenia, po czym życzył szczęścia i wyszedł ze Starbucksa, zostawiając wszystko na jej głowie.

Foster na ekranie wyglądał jak mężczyzna lekko po pięćdziesiątce.

– A więc – zaczął, przyciągając kabel, aby umieścić mikrofon tuż przy swoich ustach. – *Otworzyłaś ten plik, co oznacza, że byliście na tyle nieuwważni, aby pozwolić na zniszczenie jednostki pomocniczej, a teraz musicie wyhodować nową.*

Foster szczegółowo omówił zasady konserwacji i karmienia oraz długo wyjaśniał działanie próbowek hodowlanych. Ale w końcu, pod koniec nagrania, podał informację, której szukali:

– ... *klony wyrastają z genetycznie modyfikowanych ludzkich płodów. Zakładam, że zużyliście ostatnie zamrożone zarodki przechowywane w biurze terenowym, a teraz potrzebujecie kolejnych.*

Nie do końca je zużyli: wszystkie nie w pełni rozwinięte płody zmarły w próbkach, zatruty się własnymi płynami ustrojowymi, ponieważ napędzane elektrycznie pompy nie działały jak trzeba. Troskliwie zajęli się wszystkimi ciałami: bladymi, pozbawionymi życia i włosów, galaretowatymi kształtami rozmaitych rozmiarów – od maleństwa mieszczącego się na otwartej dłoni do ciała ośmio- lub dziewięcioletniego chłopca. Wyjęli je z próbek, zataszczyli nad rzekę i wrzucili do wody. Chętnie by o tym zapomniała.

– *Na szczęście jest ich więcej. Istnieje zapas sprawnych zarodków operacyjnych, wszystkie zostały zmodyfikowane genetycznie, w ich jamach czaszkowych umieszczono silikonowe procesory. Mogą przejść pełen cykl rozwojowy, no i, rzecz jasna, są dostarczane z fabrycznie zainstalowanym kodem sztucznej inteligencji.* – Foster uśmiechnął się skromnie z ekranu. – *Jeśli mieliście dość rozumu, aby ocalić procesor ostatniej jednostki pomocniczej i zabezpieczyć jej sztuczną inteligencję...*

Kiwnęła głową. No cóż, właściwie to Liam uporał się z tym niesmacznym zadaniem.

– ... *nowe jednostki pomocnicze nie muszą uczyć się wszystkiego od nowa i zachowywać jak skretyniałe barany, możecie przegrać kod sztucznej inteligencji z systemu komputerowego. Dobra wiadomość jest więc taka, że istnieje więcej zarodków. A teraz zła: nie zostaną dostarczone pod wasze drzwi jak pizza. Musicie udać się po nie sami.*

Sal krzyknęła, że zostało tylko trzydzieści sekund. Maddy znowu pomyślała więc o lodowatej wodzie w cylindrze translokacji. Opuściła się obok Liama, wydychając kłęby zimnego powietrza.

– Uhh! Jest l-l-lodowata! Jak ty to znosisz? – spytała Liam, dzwoniąc zębami.

– A mam jakiś wybór? – Uraczył ją krzywym uśmiechem.

– Dwadzieścia sekund! – krzyknęła Sal.

– Gdzie się przenosimy? – spytał Liam.

– Mm-mm-mówiłam przecież: do San Francisco w roku tysiąc dziewięćset szóstym.

Liam przez chwilę w skupieniu marszczył brwi.

– Poczekaj... to przypadkiem nie tego samego roku...?
– Tak?
– Pamiętam, jak mój tata czytał o tym w „Irish Timesie”. W tym roku...

– Piętnaście sekund!

Maddy puściła się brzegu pleksiglasowego cylindra i zaczęła pływać na powierzchni wody.

– Mm-musisz zanurkować, Liamie.

– Wiem... wiem! Nienawidzę tego momentu.

– Może Sal i ja nauczymy cię kiedyś pływać?

– Dziesięć sekund!

– Och, Jezusie kochany, Panienko Przenajświętsza! Dlaczego zawsze musimy jeździć w czasie właśnie w ten sposób? Dlaczego w ogóle Waldstein był na tyle głupi, aby wymyślić te przekłete podróże w czasie?

– Jeśli już koniecznie szukasz kozła ofiarnego... to zz-zrzuc lepiej winę na Chińczyka, który pierwszy na to wpadł.

– Agrhh, tego też niech wszyscy diabli porwają!

– Pięć sekund! – krzyknęła Sal. – Musisz nurkować!

Maddy uniosła rękę nad głowę chłopca.

– Naprawdę mam cię wepchnąć?

– Nie! Ja tylko... czekaj, argh... dobra już!

Liam nabrał do płuc powietrza i zatkał nos wolną ręką.

– W-widzimy się po drugiej stronie – powiedziała Maddy, wypychając go pod wodę, po czym wzięła głęboki wdech i zanurzyła się zaraz za nim.

„Och, Jeezu... zaczyna się” – pomyślała ze zrezygnowaniem.

To był jej pierwszy raz. Pierwszy raz wyruszała w przeszłość, nie licząc samej rekrutacji z dwa tysiące dziesiątego roku. Była zbyt zajęta ustawianiem współrzędnych i sygnatury czasowej okna powrotnego, sprawdzaniem, czy Sal wyciągnęła ze starej szafy na zapleczu odpowiednie ubrania, upewnianiem się, że dobrze zapamiętała szczegóły misji... Wszystko to tak mocno zaprzętało jej głowę, że nie miała

czasu zastanawiać się, jak bardzo przeraża ją perspektywa wypchnięcia z obecnej czasoprzestrzeni – przez wymiary chaosu, gdzie Bóg jeden wie, co się znajduje – do świata sprzed niemal stu lat.

Pod wodą otworzyła oczy i zobaczyła zamgloną sylwetkę Liama, który kotłował się w śmiertelnej panice. Bąbelki zakreślały szaleńcze zygzaki wokół chudego ciała chłopaka. Przez porysowany plastik dostrzegła też przyćmione światło lampy stojącej na biurku komputerowym, niewyraźny zarys Sal... a później...

... później czuła już tylko, jak spadają i koziołkują przez ciemność.

ROZDZIAŁ 4

Teksas
rok 2015

– Drodzy uczniowie, już wkrótce dotrzemy do instytutu, apeluję więc o jak najlepsze zachowanie – powiedział pan Whitmore, w roz-targnieniu drapiąc się po rzadkiej, szpakowatej szczecinie, którą uważał za pełnoprawną brodę, nawet jeśli inni mieli zgola od-mienne zdanie. – I jestem pewien, że nie zawiedziecie mojego za-ufania – dodał.

Edward Chan westchnął i wyrztał przez szerokie okno autokaru na zarośla ciągnące się wzdłuż autostrady. W klimatyzowanym au-tobusie nie czuć było skwaru typowego teksańskiego dnia. Spiekota i jasność – tych dwóch rzeczy nienawidził. Uwielbiał swoją ciemną sypialnię w Houston z zaciągniętymi zasłonami i ultrafioletową lampą, w świetle której zawieszzone na ścianach plakaty z mangą lśniły jak neonowe reklamy na zewnątrz klimatycznego klubu nocnego.

Mrok, nastrój i spokój. Miejsce w bezpiecznej odległości od nieustannego harmidru towarzyszącego życiu innych dzieci, z dala od chichotów licealistek zawsze tworzących kliki – nienawistne grupki złośliwych, wciąż podśmiewających się, szepczących i plot-kujących panienek. A chłopcy... ci byli jeszcze gorsi, o ile to w ogóle możliwe. Mięśniaki, samce alfa: głośni, aroganccy, świetni w spor-cie, roztaczający wokół aureę pewności siebie, przybijający piątki przy każdej nadarzającej się okazji w rytm rapu sączącego się ze słu-chawek iPodów. Złocista opalenizna, piaskowe włosy i niebieskie

oczy wskazywały, że z łatwością skończą szkołę i college, a później z równą swobodą przejdą przez życie... i nigdy nie będą musieli zastanawiać się, czy ktoś szepcze za ich plecami, śmieje się z nich, czy wytyka palcami.

W szkole istniał system plemienny: dziewczyny – chichoczące hordy klonów *à la* Hannah Montana; mięśniaki puszące się w otoczeniu kumpli z gangsta gangów... a na końcu trzecia kategoria, egzemplarze podobne do Edwarda Chana – dziwadła. Samotnicy, emo, geeki, nerdzi: żalosne zakalce, które nijak nie pasowały do formki pod nazwą liceum.

Ojciec zawsze powtarzał mu, że to właśnie dziwadła, po skończeniu szkoły, odnosiły największe sukcesy. To dziwadła zostawały internetowymi miliarderami, słynnymi wynalazcami, reżyserami, gwiazdami rocka... prezydentami nawet. Mięśniaki z kolei kończyli jako agenci nieruchomości lub kierownicy w supermarkecie. Hanny Montany natomiast stawały się znudzonymi, samotnymi i tyjącymi kurami domowymi.

Z ochrowej monotonii przed autokarem wyłonił się zespół budynków. Kierowca zwolnił i zatrzymał pojazd przy bramce bezpieczeństwa. Jakies trzydzieścioro dzieci w autobusie zaczęło wiercić się w fotelach i wyciągać szyje, aby spojrzeć na uzbrojonych strażników i budynki laboratorium.

– Zostańcie na swoich miejscach – powiedział pan Whitmore przez mikrofon.

Edward wyciągnął szyję i wyjrzał ponad zagłówek siedzenia. Po schodach autokaru wspinał się elegancki mężczyzna ubrany w jasny, lniany garnitur. Mężczyzna przywitał się z panem Whitmore'em – dyrektorem szkoły i opiekunem wycieczki.

– Słuchajcie, przekazuję was teraz panu Kelly'emu z instytutu, który oprowadzi nas dzisiaj po obiekcie.

Pan Kelly wziął podany mikrofon.

– Dzień dobry, chłopcy i dziewczęta. Pozwólcie, że powitam was w instytucie. Jesteśmy zaszczytzeni waszą obecnością. Jeśli dobrze

rozumiem, wszyscy zostaliście wyznaczeni przez swoje szkoły jako najlepsi, szóstkowi uczniowie?

– Nie do końca, panie Kelly. – Whitmore pokręcił głową. – To uczniowie ze szkół z całego stanu, którzy wykazali się największymi postępami w nauce i chęcią ciągłej poprawy. Uczniowie w tym autokarze znajdują się na różnym poziomie edukacyjnym i posiadają różne umiejętności, ale łączy ich jedno: imponująca poprawa wyników podczas egzaminów na koniec roku. Ci młodzi ludzie bardzo ciężko pracowali, aby odnieść sukces.

Na opalonej twarzy pana Kelly’ego wykwitł szeroki uśmiech.

– Fantastycznie! Lubimy tu ambitnych ludzi. Wojowników. Wcale się nie zdziwię, jeśli jedno lub dwoje z was pewnego dnia dołączy do naszej załogi.

Wzdłuż siedzeń popłynął kurtuazyjny, zdawkowy śmiech uczniów.

Autokar powoli ruszył w dół długiego, prostego podjazdu otoczonego świeżo ściętym trawnikiem zraszany przez spryskiwacze.

– Niedługo dojedziemy do strefy przyjmowania gości, gdzie wysiadzimy z autobusu. Przed rozpoczęciem wycieczki po ośrodku zjemy specjalnie przygotowane dla was przekąski. Dzisiaj będę waszym przewodnikiem. Jeśli macie jakiegokolwiek pytania, śmiało podnoście rękę i pytajcie. Chcielibyśmy, abyście wynieśli z tej wizyty jak najwięcej, abyście zrozumieli, jak ciężką pracę tu wykonujemy i jak istotna jest ona dla środowiska.

Edward wyjrzał przez okno autobusu powoli okrążającego ozdobny kwietnik. Na samym środku rabatki znajdował się znak otoczony ramką jaskrawo żółtych chryzantem: WITAMY W TIZTE: TEKSAŃSKIM INSTYTUCIE ZAAWANSOWANYCH TECHNOLOGII ENERGETYCZNYCH.

ROZDZIAŁ 5

San Francisco
rok 1906

– Hej! Nie odwracaj się, jeszcze nie jestem gotowa – burknęła z irytacją Maddy.

Liam pozostał na miejscu, wpatrując się w brudną ścianę z czerwonej cegły. Boczna uliczka cuchnęła gnijącymi rybami. Chłopak zastanawiał się, czy jeśli będą ociągać się z odejściem, smród przyklei się do nich na cały dzień.

– Wciąż nie jesteś gotowa? – spytał.

– Wszystko przez te przekłute sznurowadła, zaczepy, guziczki i inne fiku-miku. Jak, do jasnej ciasnej, ówczesne kobiety radziły sobie z tym wszystkim?

Odrobinę odwrócił głowę, by rozejrzeć się po uliczce, która wychodziła na ruchliwą arterię. Zauważył kilka wozów konnych i mężczyzn ubranych łudząco podobnie do niego: w szare, oficjalne bonżurki, zapinane na guziki kamizelki, koszule z postawionym kołnierzem. Na głowach nosili cylindry, płaskie kapelusze, meloniki. Przypominali lepiej wystrojonych na niedzielną mszę mężczyzn z Corku. Ubrania znalezione na zapleczu wydawały się niemal całkowicie autentyczne. Wisiała tam jeszcze jedna para zakurzonych kostiumów. Sal powiedziała jednak, że są przeznaczone na inny awaryjny punkt zrzutu – przydadzą się w innych czasach, w innym miejscu.

– Niech to szlag... lepiej nie będzie! – Maddy zakłęła ze złością.

– Mogę się już odwrócić?

– Tak... ale lojalnie uprzedzam, że wyglądam jak klaun.

Odwrocił się. I szeroko otworzył oczy.

– Co? – mruknęła podejrzliwie. – O co chodzi? Coś nie tak?

– Nic! Zupełnie nic... tylko...

Maddy rzuciła mu gniewne spojrzenie spod słomianego kapelusza z szerokim rondem, zwieńczonego pióropuszem ze strusich piór. Szczupłą szyję oplatała ozdobna koronka, opadająca na ciasno zasnuowaną, misternie zdobioną górną część gorsetu. Talia dziewczyny wydawała się cienka jak gałązka, wrażenie to potęgowała rozszerzająca się do dołu suknia, skromnie zakrywająca nogi do samej ziemi.

– Liamie? – Maddy położyła na biodrach ręce obleczone do wysokości łokci w nieskazitelnie białe rękawiczki.

– Wyglądasz jak...jak... – kręcił głową.

– Wykrztuś to wreszcie.

– Jak... dama. W rzeczy samej.

W pierwszej chwili chciała podejść do niego i zdzielić go jak zwykle po ramieniu, ale poczuła, że jej policzki zaczynają strasznie czerwienieć.

– Tiaa... naprawdę?

– Tak jest. – Liam się uśmiechnął. – A ja? Co ze mną?

– Ty wyglądasz jak imbecyl. – Wyszczrzyła zęby.

– To przez ten kapelusz – powiedział Liam, ściągając cylinder. – Uszy odstają mi pewnie jak para uchwytywów od garnka.

– Nie przejmuj się, Liamie – zaśmiała się Maddy. – Taka moda. Nie jesteś tu jedyną osobą z cylindrem na głowie.

– W Irlandii nosiliśmy furażerki i kaszkiety. Drętwiaki w szapokłaku lub meloniku, sami się prosili, żeby pierwszy lepszy dowcipniś zdmuchnął im go z głowy.

Przemilczała to dowcipkowanie i wyciągnęła w jego stronę rękę, przyjazny uśmiech zastąpiło zmarszczenie brwi sugerujące, że czas się wziąć do roboty.

– Którą tam masz godzinę?

Liam wyciągnął z kieszeni kamizelki bogato zdobiony czasomierz.

– Siedem minut po jedenastej przed południem.

– W takim razie powinniśmy się zbierać. Okno powrotne zostanie otwarte za cztery godziny.

– Jasne, to daleko stąd?

– Chyba niedaleko. Wyjdziemy na Merrimac Street, później wzdłuż Fourth Street dotrzemy do Mission Street i zostanie nam już tylko krótki spacer na Second Street. Zgaduję, że to jakieś dziesięć minut drogi.

Liam odszedł od ceglanej ściany, wywróconych skrzyń z odpadami oraz smrodu gnijących ryb i ze swoim krzywym uśmiechem na ustach zaoferował Maddy ramię.

– Pozwoli pani?

Twarz dziewczyny pojaśniała, ręka w białej rękawiczce wśliznęła się pod ramię chłopca.

– Ależ oczywiście, panie Darcy. Doprawdy niesamowity z pana gentleman.

Gdy wyszli z ciemnego zaułka na Merrimac Street, Maddy prawie się zachłysnęła.

„Mój Boże. Ja naprawdę jestem w przeszłości”. Dopiero teraz dotarło to do niej z pełną mocą.

Merrimac Street była tego ranka ruchliwa; po chodnikach spacerowali ludzie, pod górę wspinały się wozy konne transportujące towary z przystani na samym końcu ulicy. W porcie, w równym rzędzie, cumowały statki, wypuszczając w stronę błękitnego nieba pasma węglowego dymu i pary, wokół łajb krzątali się tragarze, niektórzy wnosili towary na statki, inni znosili ładunek na ląd.

– Bomba. – Zaśmiała się z zachwytem. – Czuję się jak w filmie, przypomina to pierwsze sceny z Titanica...

– Zrobili film o katastrofie? – Spojrzał na nią z niesmakiem.

Uśmiech na twarzy dziewczyny zamienił się w grymas pocucia winy.

Liam cmoknął z dezaprobatą i westchnął.

– Zginęło tylu dobrych ludzi... i po co? Żeby sto lat później zostać bohaterami jakiegoś migoczącego fotoplastykonu?

– Hmm, chyba tak. – Wzruszyła ramionami. – Ale film był świetny, niesamowite efekty specjal... – przerwała, widząc jak Liam gniewnie łypie oczami. – Nieważne.

Skręcili w lewo i skierowali się w stronę Fourth Street, starając się nie nadepnąć na końskie odchody zaśmiecające ulicę. Fourth Street była trochę ruchliwsza, choć nie umywała się do Mission Street. Szeroka na trzydzieści metrów arteria pęczniała od wozów konnych i przechodniów; wzdłuż ulicy biegła linia tramwajowa, po której ze stukotem przemykały wagoniki wypełnione pasażerami tak ciasno, że kilku zawsze niepewnie zwiślało z tyłu wagonu. Motorniczowie co chwila uderzali w dzwonki, aby oczyścić trakcję przed nadciągającym tramwajem.

– O mój Boże, to niesamowite! – westchnęła.

– Ciii... gadasz jak turystka! – Liam pociągnął ją za ramię.

Wzdłuż Mission Street ciągnęły się rzędy pięcio- i sześciopiętrowych budynków, magazynów, biur, fabryk, banków i kancelarii prawnych. Zauważyła wysoki budynek górujący nad krajobrazem – miał piętnaście, może dwadzieścia pięter i wyglądał jak pomniejszona wersja Empire State Building.

– Nie wiedziałam, że już wtedy mieli drapacze chmur... uhh... to znaczy, że mają je już teraz!

Liam skinął głową.

– Niestety w Irlandii nic takiego nie mamy – powiedział ze smutkiem. – A ty chcesz mi powiedzieć, że jutro to wszystko zostanie całkowicie zniszczone?

– Mhm. Jutro rano, osiemnastego kwietnia, po wielkim trzęsieniu ziemi w całej Kalifornii. Według naszej historycznej bazy danych, wstrząsy zniszczą lwią część centrum, a pożar strawi resztę zabudowań... czwarty i piąty dystrykt. Zniknie niemal wszystko.

– Jeeezu... to straszne. – Liam na chwilę zmarszczył brwi. – Poczekaj! Przecież to trochę głupie, że Agencja wybrała właśnie to miejsce i ten czas na magazyn zapasów, skoro niedługo wszystko się zawali.

– Ty tak na poważnie? – spytała Maddy, krzywiąc się i teatralnie przewracając oczami. – Pomyśl przez chwilę! To doskonały wybór! – Spojrzała na niego, jakby właśnie źle założył buty. – Staruszek Foster musiał majaczyć, gdy mówił, że strasznie bystry jesteś – dodała z udawaną troską.

Wydał wargi, udając, że jej słowa strasznie go zraniły.

– Pannę mądrałińską najwidoczniej strasznie świerzbi język, żeby mi coś powiedzieć. Niech więc geniusz w gorsecie mówi śmiało.

– Miejsce jest idealne – westchnęła niezrażona – bo skarbiec bankowy, w którym przechowywane są genetycznie zmodyfikowane płody, zostanie strawiony przez pożar. Spłonie wszystko. Wszystkie skrytki depozytowe, ich zawartość, akta klientów... wszystko. Nie zostanie nawet cień śladu na piśmie.

– Ach, bardzo sprytnie. – Liam wyszczerzył zęby.

– No właśnie.

Harmider na Mission Street spotęgował głośny stukot charczącego silnika. Hałas zalał całą najbliższą okolicę. W końcu zobaczyli samochód z kruchymi, szprychowymi kołami, który toczył się środkiem ulicy za idącym pieszo człowiekiem wymachującym czerwoną flagą ostrzegawczą.

– Wow! Nie wiedziałam, że mieli wtedy samochody! – Maddy krzyknęła mu prosto w ucho.

– No i kto tu jest głupi?! – odkrzyknął Liam. – Oczywiście, że mieliśmy! – Patrzył na przejeżdżający obok pojazd prowadzony przez człowieka w czapce z daszkiem i goglach. Obok mężczyzny siedziała kobieta z burzą strusich piór na głowie, rękami osłaniając uszy przed kakofonią dźwięków.

– To oldsmobile model R – dodał Liam, gdy samochód w końcu skręcił w prawo z Mission Street, a mozolny charkot silnika tłokowego ucichł na tyle, że mogli wrócić do swobodnej rozmowy.

– Gdy opuszczałem miasto, kilka takich cudeniek zaszuwało już ulicami Corku – tak, nawet Corku.

– Faktycznie, gnał jak żółw. – Dziewczyna ironicznie potrząsnęła głową.

Przez kilka kolejnych minut szli w milczeniu: Maddy z entuzjazmem odgrywała rolę w kręconym przez jej własną wyobraźnię hollywoodzkim filmie kostiumowym, a Liam czuł się trochę jak na sentymentalnej wycieczce do domu. Znowu znalazł się w swoich czasach; w miejscu, gdzie może swobodnie rozmawiać z ludźmi, nie ryzykując, że wezmą go za kompletnego bałwana, bo nie wie, czym jest „kamera cyfrowa”, że „komórka” to nie szopa z narzędziami, a „krówka ciągutka” to niekoniecznie krowa żująca trawę na łące.

– To tu – oznajmiła w końcu Maddy, wskazując na wąską boczną uliczkę. – Minna Street.

Przeszli na drugą stronę szerokiej ulicy, omijając kolejne kopczyki końskich odchodów i umykając przed dzwoniącym tramwajem, który torował sobie drogę przez tłum przechodniów. Stali u wylotu cichej, wąskiej uliczki, w której z trudem mogłyby się wyminąć dwa wozy.

– Tego budynku szukamy – powiedziała, wskazując elegancką, ceglano-granitową elewację. – Bank Oszczędnościowy – dodała. – Według instrukcji Fostera, to jedyny oddział banku. Po trzęsieniu ziemi pożar zniszczy ten budek i wszystko, co się w nim znajduje. Bank zapadnie się pod ziemię, jakby nigdy nie istniał. – Spojrzała na niego uważnie. – Rozumiesz? Idealny zbieg okoliczności.

– A wszystkie nasze Bobaski są bezpiecznie przechowywane w piwnicy?

– Tak mówi Foster.

Liam zmarszczył brwi.

– Może znowu coś przegapiłem, ale jeśli w skrytkach znajduje się cała porcja małych zarodków, to co podtrzymuje je przy życiu? Czy nie powinny po prostu umrzeć i zgnić? Może jest tam jakieś urządzenie chłodzące?

– Zobaczysz.

ROZDZIAŁ 6

San Francisco
rok 1906

Maddy ruszyła wzdłuż Minna Street w stronę banku.

– Chodź.

Liam starał się dotrzymać jej kroku.

– Kto je umieścił w banku? Kiedy to zrobił?

Dotarła do frontowych drzwi Banku Oszczędnościowego i zatrzymała się.

– Poczekaj, Liamie, sekundkę... – Ściągnęła okulary i wyciągnęła z torebki skrawek papieru zapisany jej własnym charakterem pisma.

– Och, Jezuu... zabrałaś ze sobą notatki? Czy to nie zabronione? A kontaminacja czasowa?

Maddy rozejrzała się po cichej uliczce z poczuciem winy.

– No wiem... ale miałam furę informacji do zapamiętania. Martwiłam się, że o czymś zapomnę.

– Foster wpadłby w szal, gdyby dowiedział się, że zabrałaś ze sobą notatki – powiedział Liam.

– Ale się nie dowie – szepnęła niecierpliwie. – A to dlatego, że zwiął i zostawił nas samych z całym tym rabanem na głowie.

Liam obojętnie wzruszył ramionami.

Maddy założyła okulary i zaczęła wyjaśniać:

– Nazywam się panna Emily Lassiter. A ty jesteś moim bratem.

– Ja też dostanę jakieś imię?

– Tak... – westchnęła. – Mam, Leonard Lassiter. Pasuje?

Przytaknął.

Dziewczyna przejrzała resztę notatek i przez kilka chwil przetwarziała informacje, zanim ponownie schowała kartkę do torebki i ściągnęła okulary.

– Okej, chyba mamy wszystko, czego potrzebujemy. – Spojrzała na niego. – Nic nie musisz mówić. Przytakuj mi po prostu.

– Da się zrobić.

Wzięła głęboki wdech, po czym popchnęła podwójne drzwi banku. Postawili stopy na wykafelkowanej podłodze, od której odbijało się echo wszystkich kroków, tonąc w holu obitym ciemną, dębową boazerią. Przed nimi znajdowało się z pół tuzina reprezentacyjnych, mahoniowych biurków, na których tliły się lampki o zielonych ceramicznych kloszach. Za biurkami siedzieli kasjerzy rozmawiający z klientami przyciszonym, oficjalnym tonem.

Maddy powiodła ich do wolnego młodego kasjera z ulizanymi włosami z przedziałkiem na środku i idealnie przystrzyżonymi i napomadowanymi wąsami.

– Hmm... czy mogę? – spytała.

Młody człowiek spojrzał na nią i uśmiechnął się czarująco.

– Witam panienkę. Jak mogę panience pomóc?

– Chciałabym mówić z panem... hmm... panem Leightonem. Chyba tutaj pracuje.

– Ach, on bez wątpienia tutaj pracuje, widzi panienka? – odrzekł młodzieniec, dotykając drewnianej tabliczki na biurku. – Nazywam się Harold Leighton. Proszę usiąść.

Maddy uśmiechnęła się i opadła na krzesło odrobinę zbyt bezpretensjonalnie, dlatego jak najszybciej starała się odzyskać pozę wielkiej damy.

– Bardzo pan uprzejmy – powiedziała z wielką powagą.

– Czym mogę panience służyć?

Wzięła głęboki oddech, mając nadzieję, że uda jej się należycie przeprowadzić rozmowę i opanować nerwy.

– Moja rodzina założyła w państwa banku skrytkę depozytową, którą chciałabym dzisiaj opróżnić.

– Oczywiście. Na kogo zarejestrowane jest konto?

– Joshuę Waldsteina Lassitera.

Harrold Leighton uniósł brwi.

– Och... jakiś problem? – Serce Maddy zabiło mocniej.

– Absolutnie żaden. Tyle że... na biurku wciąż mam te dokumenty.

– Dokumenty? – Maddy niewinnie potrząsnęła głową.

– Dokumenty potwierdzające założenie skrytki bankowej przez pana Joshuę Waldsteina Lassitera, jak mi nie mam to panienki...

– Hmm?... Mój... tak, to mój ojciec.

– A więc ojciec panienki odwiedził nas niecałą godzinę temu. Miałem zaszczyt go obsługiwać. Przyniósł ze sobą bardzo kunsztownie zdobioną kasety z biżuterią, którą wspólnie znieśliśmy na dół, do sejfu, i umieściliśmy w skrzynce depozytowej... wszystko to miało miejsce niecałą godzinę temu.

– Ach – odrzekła Maddy i zdeorientowana zamilkła na kilka sekund. – Wszystko się zgadza.

– Tak szybko chcą państwo opróżnić skrytkę?

– Właśnie – przytaknęła Maddy.

– Cóż... to się nigdy nie zdarza.

– My, Lassiterowie, tworzymy zabawną, starą rodzinę – powiedziała Maddy, zerkając za siebie nad krzesłem. – Prawda, Liamie?

– Ależ tak, strasznie dziwna z nas rodzinka, droga siostrze. – Liam postąpił krok do przodu i uśmiechnął się do kasjera. – Czasem nazywa mnie Liamem, choć moje prawdziwe imię to Leonard – powiedział, dając jej kuksańca w plecy.

Maddy złażała się w duchu za swoją durnotę.

– Jesteście bratem i siostrą? – Harold Leighton podniósł wzrok na Liama. – Czy nie jest pan przypadkiem Irlandczykiem?

– Tak.

– A – powiedział, patrząc na Maddy – panienka Irlandką nie jest?

– Ja... hmm... – Usta Maddy poruszyły się bezsilnie. – Och....

– Ja wychowałem się w Corku – wtrącił się Liam. – A moja droga siostra w Kalifornii. Ojciec lubi prowadzić dom po obu stronach Atlantyku, nie inaczej.

– Na to wygląda. – Młody kasjer podejrzliwie zmarszczył brew, po czym westchnął i rozłożył przed nimi dokumenty ze szczegółowymi informacjami na temat ich konta bankowego. – Cóż, zdaje się, że wasz ojciec mianował swoje dzieci współwłaścicielami konta. Zakładam więc, że mam przyjemność z panną Emily Lassiter?

– Zgadza się – odpowiedziała.

– Z przyczyn bezpieczeństwa muszę zapytać o kod, który ojciec panienki wpisał do formularza. Pozwoli nam to upewnić się co do państwa tożsamości.

– Oczywiście – przytaknęła. – To... to... – Nagle uświadomiła sobie, że dosłownie wszystko wyleciało jej z głowy i zakłęta.

Kasjer szeroko otworzył usta, zdumiony tym nieprzystającym damie doborom słów.

– Ależ panienko!

Liam uśmiechnął się przepaszająco.

– Proszę nam wybaczyć, siostra spędziła masę czasu na morzu, ten wulgarny język podłapała od nieokrzesanych marynarzy. Ojciec nie znosi, gdy mówi w ten sposób.

– Sekundkę – powiedziała Maddy, szperając w torbie w poszukiwaniu kartki z notatkami. Szybko przejrzała własne bazgroły. – Ach! Tu jest!

Pochyliła się nad biurkiem i powiedziała:

– Hasło, panie Leighton, to „Hemlock”.

Młodzieniec przypatrywał się jej długo i intensywnie, a jego oczy przesłoniła mgiełka nieufności. W końcu ostrożnie się uśmiechnął.

– Zgadza się, panienko Lassiter. Jeszcze tylko podpis w tym miejscu i z przyjemnością odprowadzę państwa do sejfów.



Kasjer przekręcił duże, miedziane koło i powoli otworzył żeliwne drzwi prowadzące do małego pomieszczenia z rzędem ponumerowanych skrzynek depozytowych zajmujących trzy ściany.

– Numer państwa skrzynki depozytowej to trzy, dziewięć, siedem – powiedział, wiodąc ich do szafki z tym właśnie numerem na drzwiczkach. Włożył klucz do zamka i raz go przekręcił.

– Zgodnie z polityką banku, muszę pozostać w pomieszczeniu, gdy klient przegląda zawartość skrzynki depozytowej. Oddał się jednak do drzwi i odwróć plecami, aby zachowali państwo choć odrobinę prywatności.

Maddy przytaknęła i uśmiechnęła się grzecznie jak pensjonarka.

– Dobrze.

Odczekała chwilę, odprowadzając wzrokiem pana Leightona, który przeszedł na drugą stronę pomieszczenia i stanął przy żeliwnych drzwiach, mimowolnie pobrzękując kluczami i uważnie oglądając paznokcie drugiej dłoni.

– Liamie – mruknęła Maddy.

– Tak?

– Lepiej, jeśli z nim porozmawiasz. Rozproszy go to trochę. Nie chcę, żeby zauważył coś, czego widzieć nie powinien.

– Racja – przytaknął chłopak i odszedł w stronę drzwi. Z łatwością zagaił rozmowę z młodzieńcem, a w tym samym czasie Maddy zajęła się ich sprawami.

Otworzyła drzwiczki skrzynki depozytowej. Słaba poświata żarówki zawieszanej pod sufitem pomieszczenia ukazała zarysy przedmiotu znajdującego się w środku. Maddy włożyła rękę w ciemność i niemal natychmiast dotknęła bocznej ścianki drewnianej skrzyni. Znalazła mały uchwyt i wyciągnęła ją ze środka. Była dość ciężka. Kiedy taszczyła ją z szafki w stronę ławki na środku pomieszczenia, młodzieniec krzyknął do niej:

– Panienska pozwoli, że pomogę.
– Dam sobie radę... dam radę – wystękała.
– Jest silna jak wół, w rzeczy samej – uspokoił go Liam. – Poradzi sobie – dodał i wrócił do rozmowy z Leightonem. Z pojedynczych słów Maddy wywnioskowała, że rozmawiają o statkach parowych.

Przyjrzała się skrzyni. Rzeczywiście wyglądała jak kasetka na biżuterię o rozmiarze małej torby podróźnej, była wykonana z ciemnego drewna i miała srebrne klamry i ozdobne zawijasy na ściankach. Odwróciła kasetę tak, aby wyprostowane wieko ukryło cenną zawartość przed wścibskimi oczami, a następnie powoli i ostrożnie ją otworzyła.

– Kolejna kasetka – wyszeptała. Ta była jednak gładka, jednolita, metalowa i zimna w dotyku.

„Jest zamrożona” – pomyślała. W środku musiał znajdować się mały zasilacz lub bateria.

Okryte rękawiczką palce wymacały z boku zatrzask i delikatnie go odsunęły. W środku kasetki coś kliknęło, wieko uniosło się powoli z ledwie słyszalnym syczeniem. Z kasetki wypłynęła cienka mgiełka azotu, odsłaniając rząd ośmiu szklanych próbek; każda z nich miała około piętnastu centymetrów długości i kilka centymetrów szerokości. Wyjęła jedną z próbek z podtrzymującego ją uchwytu i, wciąż pod osłoną wieka większej kasety, uważnie się jej przyjrzała. Za szkłem fiolki unosił się mętny, różowawy roztwór i niewyraźny zarys zwiniętego ludzkiego płodu.

– Witajcie, małe Bobusie! – zagruchała cichutko, przesuwając palce w dół zamrożonego zarodka. – Przyszła do was ciocia Maddy.

Rozmowa w rogu stawała się coraz bardziej ożywiona. Najwyraźniej Leighton był zafascynowany nowinkami technologicznymi, takimi jak statki parowe i automobile, a Liam umiejętnie to rozgrywał.

„Świetna robota, Liamie” – Maddy pochwaliła w myśli przyjaciela.

Odłożyła próbkówkę na miejsce i zamknęła pokrywę chłodzonego pojemnika, po czym wyjęła go z kasety na biżuterię i włożyła do torby. Już chciała zamknąć kasę, gdy zauważyła spoczywający na dnie świstek papieru. Na widok napisu serce dziewczyny zaczęło uderzać ze zdwojoną siłą.

Na kartce ktoś napisał jej imię.

„Wiadomość dla mnie?” – dziwiła się.

Sięgnęła ręką do kasety i wyjęła znalezisko. Na kartce ktoś w pośpiechu skreślił kilka słów.

*Maddy, uważaj na „Pandorę”, ucieka nam czas.
Uważaj na siebie i nie powtarzaj tego nikomu.*

– Jak sobie radzisz, droga siostrze? – zawołał Liam.

– Świetnie – odpowiedziała, po czym chwyciła świstek papieru, zwinęła go w kulkę i wepchnęła do jednej z rękawiczek. Zamknęła kasę i zaniósła z powrotem do schowka. Tym razem kasa była zdecydowanie lżejsza. Zamknęła drzwiczki. – Gotowe, panie Leighton!

– Ach, cudownie! – Podszedł do skrzynki depozytowej, dzwoniąc kluczami i zamknął jej drzwiczki.

– Wszystko w porządku?

Spojrzała na Liama, który stroił do niej głupie miny ponad ramieniem kasjera.

– Tak... tak, w jak najlepszym, dziękuję.

Minutę później wychodzili już z banku na Minna Street. Liam wziął od Maddy torbę.

– Całkiem miły facet – powiedział.

Dziewczyna odwróciła się i spojrzała na niego.

– Za dwanaście godzin będzie martwy.

– Martwy?

– Tak, martwy. Dlatego, zgodnie z instrukcjami, to właśnie o niego mieliśmy pytać po przyjsciu do banku. – Rozgryzła to, gdy

wychodzili ze skarbca. Jeżeli cokolwiek się stało, jeśli młodzieniec dostrzegł zawartość kasety lub nabrał podejrzeń po rozmowie z Maddy i Liamem.... cóż, zostanie mu niewiele czasu, aby podzielić się z kimkolwiek tą wiedzą. Agencja jak zwykle starannie zaciera ślady.

– Jezusie. To wszystko wydaje mi się takie niesprawiedliwe – wymamrotał Liam. – Nie możemy go nawet ostrzec.

Maddy też się to nie podobało.

– Jest, jak jest, Liamie. Jest, jak jest.

Gdy szli Minna Street w stronę głównej arterii miasta, Liam próbował rozładować nastrój:

– Masz nasze dzieciaki?

– Wszystkie smoczusie dzidziusie na miejscu – przytaknęła.

– Smoczusie dzidziusie?

ROZDZIAŁ 7

Teksas
rok 2015

Edward Chan i pozostali uczestnicy wycieczki siedzieli w pokoju gości, pałaszując pączki i bajgle oraz popijając sok pomarańczowy z kartoników, podczas gdy pan Kelly, ich przewodnik, wygłaszał wstępną prezentację:

– Teksański Instytut Zaawansowanych Technologii Energetycznych... lub TIZTE, jak nazywamy go w skrócie, został założony trzy lata temu, w dwa tysiące dwunastym roku, po reelekcji prezydenta Obamy. Młodych ludzi, takich jak wy, uczy się w szkole, że nadchodzą nowe, ciężkie i wymagające czasy. Ogólnoswiatowa populacja liczy już niemal osiem miliardów ludzi, emisja dwutlenku węgla przekroczyła wszelkie dozwolone limity, zasoby tradycyjnych źródeł energii – ropy i gazu – kurczą się w zastraszającym tempie. Musimy zmienić nasze przyzwyczajenia, bo w przeciwnym razie... cóż, jestem pewien, że widzieliście już setki ponurych prognoz w wiadomościach.

Zrobił pauzę. W pokoju gościnnym panowała cisza, od czasu do czasu ktoś tylko zaszurał lub siorbnął sok pomarańczowy przez słomkę.

– Na pewno wiecie, że instytut został założony w ramach prezydenckiego programu zaawansowanych badań energetycznych. Przez ostatnie trzy lata wydaliśmy miliardy dolarów z funduszy publicznych zgromadzonych w ramach tej inicjatywy, aby rozbu-

dować ten wspaniały ośrodek, który macie okazję dzisiaj zwiedzać. Pracują tu najlepsi fizycy kwantowi i matematycy, większość projektów badawczych dotyczy zagadnienia o nazwie „energia punktu zerowego”. Jestem przekonany, że któremuś z was ten termin musiał obić się o uszy.

Edward rozejrzał się po twarzach innych dzieci, kilkoro niepewnie skinęło głowami. Rękę podniósł jeden z chłopców – kilka lat starszy od niego, niski grubasek z kręconymi rudymi włosami; ryżę kędziory zaczesane były tak mocno, że fale opadające z jednej strony przedziałka wyglądały jak lód świderek.

– Słucham cię, hmm...? – Pan Kelly pytająco uniośł brwi.

– Franklyn.

– Mów śmiało, Franklynie.

– Mój tata twierdzi, że energia punktu zerowego to tylko zbiór pobożnych życzeń. Przypomina próbę uzyskania czegoś z niczego. A to w fizyce niemożliwe. Nic nie dostaje się za darmo.

Kelly się zaśmiał.

– Cóż, Franklynie, święte słowa, ale właśnie na tym polega piękno projektu. To darmowy obiad. A koncepcja darmowego obiadu wcale nie jest taka nowa. Pamiętasz Alberta Einsteina i jego teorię względności? Twierdził on, że nawet w całkowitej próżni zachodzą reakcje. Nie jest to bowiem wyłącznie pusta przestrzeń, istnieje w niej energia – nieprzebrane zasoby energii, które można ujarzmić. Już starożytni Grecy podejrzewali, że żyjemy otoczeni zupą nieskończonej energii. Nazwali ją „eterem”. Ale problem, drogie dzieci... problem zawsze sprowadzał się do wyizolowania i zmierzenia tej siły. Jest homogeniczna i izotropowa... czyli wykazuje te same, jednolite właściwości fizyczne we wszystkich kierunkach.

Zdezorientowani uczniowie w milczeniu patrzyli na pana Kelly'ego.

– Próba zmierzenia energii punktu zerowego przypomina trochę próbę zważenia zanurzonej w wodzie szklanki z wodą. Rozumiecie? Woda znajduje się i w szklance i poza nią... a zatem, ponieważ nie

istnieje wyraźna różnica pomiędzy tym, co w środku a tym, co na zewnątrz, logicznie można założyć, że „szklanka jest pusta”. Co oczywiście nie jest prawdą. Podobny problem dotyczy energii punktu zerowego. Tylko dzięki utworzeniu „właściwej” próżni – i nie mówię tu o prostym wysysaniu powietrza z przestrzeni, ale o prawdziwej próżni czasoprzestrzennej, nawet maleńkiej – tylko dzięki temu zdołamy przyjrzeć się temu, co zostanie. – Przybrał wystudiowany uśmiech przeznaczony dla przedstawicieli mediów. – Ujrzymy czystą energię. Właśnie to robimy w laboratoriach TIZTE, mamy tu urządzenie, za którego pomocą można utworzyć prawdziwą lukę w czasoprzestrzeni. Prawdziwie pustą przestrzeń.

Kolejna uczennica podniosła rękę.

– Tak?

– Keisha Jackson.

– Śmiało, Keisha.

– Jak dużą dziurę zrobiliście? – spytała dziewczyna. – Można przez nią przejść?

– Ach, Boże, nie! Jest maleńka. Mikroskopijna. Nie musi być duża. Wystarczy mały punkcik wielkości łepka szpilki.

Jeden z chłopców w tylnym rzędzie zachichotał.

– Niedługo przejdziemy do głównego laboratorium, gdzie zobaczycie ogrodzenie otaczające strefę eksperymentalną. Z tego, co wiem, za niecałe pół godziny zespół otworzy małą próżnię. – Rozłożył ręce. – Chcecie rzucić na to okiem?

Wszyscy uczniowie w pokoju zaczęli entuzjastycznie kiwać głowami.